

# UCIECZKA OD RZECZYWISTOŚCI

Rozmowa z Ireną Eichlerówną

Zdjęcia: EDWARD HARTWIG

– W literaturze teatralnej rzadko spotykamy określenie „aktorka, która stworzyła własny styl aktorstwa” (...). Pani wszechstronność – komedia, dramat, tragedia, słowem twórczość od samych początków szeroko omawiana, opisywana, recenzowana – jest dowodem niezwykłego sukcesu. Jak się dochodzi do takich rezultatów?

– Że o nas piszą „bez protekcji” i mówią tak a nie inaczej? Kto może to wiedzieć... Zapewne trzeba zapytać każdego z osobną? Zwłaszcza tych, którzy posiadają w sobie jakieś „składniki poetyckie”? Nie wiadomo...

– Co składa się na geniusz aktorski?

– To straty nie do powetowania, gdy znikają całe światy, a z nimi i nasi mistrzowie – oni może potrafiliby panu najlepiej odpowiedzieć. Trzeba mieć koło siebie ludzi, którzy potrafią nas spojrzeć, ocenić, dopomóc... bo nieraz trzeba mieć siłę, aby przetrwać. Nawet w czasach niby „pokojowych”, gdyż i w naszym zawodzie odbywają się jakieś walki, stale do niedawna praktykowane „ucinięcie wystających głów”! Dlaczego nie można żyć bez zagrożeń?

– Ale czy na ów geniusz składa się tylko talent? praca?...

– „Tylko”? Tak, pracujemy – myślimy, widzimy... żyjemy wśród ludzi, w naszym świecie, który nas otacza, czasem krępuje czy więzi w sobie, czy przytacza i tak dalej.

– Jest pani związana z Warszawą, jej teatrami – czym była dla pani praca w innych ośrodkach?

– Tak, jestem warszawianką... pan myśli o początkach, o Wilnie czy Lwowie kiedyś? To były piękne miasta, piękni ludzie, piękne teatry, piękna praca. Wspomniała pani, choć krótki... pamiętny zawsze, zakończony dwoma tragicznymi dla nas zdarzeniami. W Wilnie była katastrofalna powódź – wysokie zwały brunatnej wody przewalały się z ogluszającym hukiem – byliśmy skamieniali, a choć nie było wojny – pewni, że zginiemy, wraz z naszym ukochanym Teatrem Wielkim na Półulanie, który przed Żelwerowiczem prowadził Juliusz Osterwa. I właściwie zginęliśmy – był to okres ogromnego krachu w Ameryce, spadku dolara – ruina światowa, i teatry w Polsce ginęły, więc i my z naszymi teatrami w Wilnie również... Mam wrażenie że nasz dyr. „Żelwer” stracił tam na teatrach wszystkie pieniądze, choć nigdy o tym nie mówił – płacił nam zawsze i wszystko.

Cóż, my musieliśmy opuścić Wilno i nigdy tam nie powróciłam. A do Lwowa zabrał mnie dyr. Horzyca. To drugie miasto do zakochania, jak i Teatr Wielki przepiękny. Tam również nigdy nie powróciłam. Były po prostu takie moje sny. Jak i całe aktorstwo może. Niedawno jakaś piękna pani z mężem powiedziała mi w autobusie, że mnie pamiętają ze Lwowa – i ustąpili mi miejsca! Bardzo chciało mi się płakać, a to przecież „wstyd płakać przy ludziach” – według nauk rodziców. A potem trzeba było czasem płakać i w sztukach teatralnych na scenie „przy ludziach.”

– Pracowała pani zarówno z wielkimi aktorami, jak i reżyserami. Kto najbardziej interesował panią z ludźmi teatru?

– Wszyscy ci niefatyzowani wielcy, oni chyba znali mnie jeszcze z różnych popisów, konkursów, które urządzał dyr. Żelwerowicz w czasie naszych studiów w Szkole Dramatycznej przy Konserwatorium, gdzie obecnie mieści się Muzeum Chopina. Ogromnie lubiłam tych moich „wielkich”, ceniałam ich wysoko również za to, że byli serdeczni, przyjacielscy. To były takie spotkania towarzyskie te nasze próby sztuk... Mówiąc prawdę, najbardziej lubiłam pracować z Junoszą-Stępowskim (grałam z nim w Wilnie, gdy był na występach) pewnie i dlatego, że na próbach, gdy siedział z boku sceny czytając gazetę, zawsze ją odkładał podczas moich scen z innymi kolegami, co komentowano „oho, Junosza odłożył gazetę”, a to dla mnie ważne, może najważniejsze. Tylko nie każdy, kto czyta gazetę posiada niezwykłą osobowość i geniusz Junoszy, chociaż usiłowano go naśladować. Pamiętam, że

z nim grałam tylko w sześciu sztukach, łącznie z filmem „Róża” Żeromskiego. Wszyscy mu współczuli, miał niedobrą żonę – morfinistkę, kochał ją. Był już wówczas naznaczony jakimś piętnem tragedii, zawsze raczej zgnębiony, ale też zawsze rzeczowy, i zawsze uciekający od rzeczywistości – w teatr. Przed samym wybuchem wojny wiele z nim przegadaliśmy w garderobie między popołudniówkami a przedstawieniami wieczornymi w Teatrze Letnim w Saskim Ogrodzie. (To teatr drewniany, należący do Narodowego, z najlepszą chyba akustyką na świecie, miał przez wiele lat wielkie powodzenie, spalili go Niemcy podczas wojny – a nikt nie pomyślał, aby w Ogrodzie Saskim upamiętnić to miejsce choćby jakimś napisem). Temat rozmów z Junoszą w tej garderobie przeważnie był „aktorski” – zadreślałam go, dlaczego nie grał Szekspira itp., odpowiadał szczerze – ciągle potrzebował wiele pieniędzy i łatwiej mu było jeździć z występami po Polsce w jakichś komedijkach. Nieszczęsny genialny aktor Junosza. Gdy po wojnie pytałam naszych wspólnych kolegów, dlaczego tę swoją żonę zastąpił, dlaczego zginął – usłyszałam odpowiedź krótką – „bo miał honor”. Istotnie, Junosza miał wielkopańskie maniere, czy formy – jeśli to można tak nazwać. A z plamą „na honorze” nie mógłby żyć – może i wołał, że zrobił to ktoś inny, nie on sam?

– Czy w taki właśnie sposób, w jaki pani myśli, buduje pani też swoje postacie sceniczne? Czy ma pani taką metodę?

– Jak to metodę? Trzeba logicznie myśleć. Logika to konieczność, zwyczajnie po prostu myślę, widzę i słyszę. Słuch trzeba mieć koniecznie, aby móc słyszeć siebie – to okropne być głuchą „na siebie samą”.

– Jest pani drugą aktorką, która po Helenie Modrzejewskiej zdobyła uznanie poza krajem. Czy myślała pani, że zostanie jej następczynią?

– Nie, nie myślałam, nigdy nie było mi to potrzebne do życia. Urodziłam się po jej śmierci, ale nie w sensie następstwa. Tego rodzaju ambicje są mi obce i chyba zupełnie niepotrzebne w innym stuleciu i teatru, i ludzi? Nikt nie wie przecież, jakie było ich aktorstwo czy styl... nie istniał wówczas film, nie istniało radio czy płyty, ani telewizja. Pozostało trochę recenzji z tamtej epoki, z innego zupełnie świata innych ludzi. Pozostało trochę listów, jak i piękne fotografie, wspomnienia, które napisała i piękne portrety. Oczywiście wszystko świadczy, że była to osobowość niezwykła, zarówno jako człowiek, jak i aktorka. Ale chyba jednak nie można przymierzać do aktorstwa tamtego czasu stylu wielkiego aktorstwa, jakie posiadaliśmy przed wojną? I przypisywać tych właściwości aktorom sprzed stu lat?

– Wspominała pani, że krytyka teatralna odegrała istotną rolę w jej życiu artystycznym. Jak ocenia pani z perspektywy czasu tę dawną krytykę?

– Przede wszystkim istniała, krytyki teatralne pisali poeci.

– Co jest przyczyną upadku krytyki obecnie?

– Może brak poetów?

– Od lat występuje pani w Teatrze Narodowym. Z tym teatrem jest pani związana po dzień dzisiejszy. Grała tu pani największe role z repertuaru klasycznego i współczesnego, do chwili obecnej i roli dr Zahnd w „Fizykach” Dürrenmatta. To pani pierwszy kontakt z tym autorem – co panią skłoniło do podjęcia tej roli?

– To dobra sztuka kryminalna – „satyryczna”, jak określił ją autor w swej przedmowie. Modny to dziś kierunek, wszyscy są podejrzani, po kolei „odpadają”. Trudno dziś o sztuki teatralne. Film powędrował od dawna w zaświaty i w walki gwiazdne z potworami. W teatrze brak możliwości grania tego rodzaju sztuk na kilku deskach sceny.

– Czy zechce pani powiedzieć, co poza sztuką teatru interesuje panią najbardziej?

– Zawsze oczywiście muzyka, działa zbawiennie. I zawsze oczywiście rodzina, życzliwi ludzie, przyjaźń – bez tego nie sposób żyć. Łatwiej byłoby wyliczyć, co



Irena Eichlerówna w „Fedrze” J. Racine’a w reżyserii Wilma Horzyca w Teatrze Narodowym (rok 1957)

interesuje mnie najmniej, ale jest tego tyle! W teatrze także...

– A jakie zdaniem pani zaszły zmiany w powojennej sztuce aktorskiej?

– Inny jest świat, inni ludzie, którzy go tworzą, ale zdarza się, że aktorstwo jest ożywcza wodą, w której się pływa i wówczas oddycha. To przeważnie ucieczka od rzeczywistości... Tylko gdzie teraz uciec? Żaden anioł na scenie się nie pojawia, skrzydeł opiekuńczych nad nami nie rozpościera, nie ma gdzie się ukryć!

– Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał DARIUSZ DOMAŃSKI

\*) Proszę sobie wyobrazić, że w Wilnie do tej chwili przewodnicy oprowadzający wycieczki z Polski opowiadają o tej katastrofalnej powodzi. Tylko nie wiem, czy opowiadają o pomniku Mickiewicza dłuta Pronaszkii. My widzieliśmy go leżącego w piasku.

Irena Eichlerówna w „Marli Stuart” Fr. Schillera w reżyserii Władysława Krasnowieckiego w Teatrze Narodowym (rok 1955)

